

# Co Słychać



Nr 20 25. VIII. 1943.

6d.

	1. OD REDAKCJI.....	str. 2.
	2. TRAKTAT POLSKO-BRYTYJSKI.....	3.
W	3. WOJNA POŚRÓD BAKTERII.....	6.
numerze	4. SZCZĘŚLIWY KRAJ.....	8.
dzisiejszym	5. UROCZYSTA CHWIŁA W KANADZIE.....	12.
	6. ROLA DARLANA W AFRYCE.....	13.
	7. CZY WIECIE, ŻE.....	18.
	8. MATKA PARTYZANTÓW.....	19.
	9. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....	22.

---

OKŁADKA: Działo "Priest" na czołgu typu "Grant"  
w akcji na Sycylii.

---

### OD REDAKCJI.

Z wielką przykrością zmuszeni byliśmy przerwać wysyłkę tygodnika tym wszystkim Prenumeratorom, którzy zalegali z opłatą prenumeraty.

Wznowimy wysyłkę "Co Słyszać" tylko wówczas, jeśli nastąpi opłacenie prenumeraty zaległej, oraz wpłata za prenumeratę dalszą.

Uiszczenie należności z góry obowiązuje również przy nowym zamówieniu tygodnika.

Byliśmy zmuszeni do powzięcia tych decyzji dla uniknięcia uciążliwej i kosztownej korespondencji, oraz zahamowania coraz to większego deficytu.

Dłużników naszych, którzy winni są jeszcze za rok ubiegły, oraz za II kwartał tego roku, prosimy o przesłanie należności do 5 września b.r.

Brak wiadomości po tym terminie, będziemy uważali jako złą wolę w stosunku do czasopisma, wobec czego Redakcja otrzyma wolną rękę w dalszym postępowaniu. Termin opłacenia należności za III kwartał mija 15 września b.r.

---

Szczęśliwe małżeństwo jest budewlą, którą należy odnawiać codziennie.

André Maurois.

Kobiet są mądrzejsze od mężczyzn, gdyż choć umieją mniej, za to rozumieją więcej.

James Stephens.

## Traktat polsko-brytyjski.

Dnia 25 sierpnia r.b. przypada 4-letnia rocznica podpisania traktatu polsko-brytyjskiego. Krótki okres pokoju, jaki panował jeszcze na świecie po tej dacie, w 1939 r., następnie wybuch wojny, odwrócił uwagę Polaków i całego świata od tego, mającego pierwszorzędne znaczenie, aktu dyplomatycznego. Traktat polsko-brytyjski nie tylko ustalił wyraźnie wspólność polityki Polski i W. Brytanii w Europie. Daje on również w chwili obecnej w ręce Polski potężny atut, jakim jest rosnąca potęga W. Brytanii i związanych z nią sojuszem przyjaźni i braterstwa Stanów Zjednoczonych.

Sojusz, podpisany z W. Brytanią, to nie jest świątek papieru, traktowany w zależności od zmieniających się warunków międzynarodowych. Naród brytyjski i jego przyjaciele zawsze respektowali swoje podpisy. Jak dotąd, słowo Brytyjczyka miało większą wartość niż solenny dokument niejednego z kontynentalnych państw. Nie wygląda na to, ażeby miało to ulec zmianie w najbliższej przyszłości.

Sojusz ten zawarty był przed czterema laty na prawach absolutnej równości. Od tego czasu warunki, niestety, uległy ogromnej zmianie. Aczkolwiek państwo polskie nie przerwało ani na chwilę swego państwowego bytu, jednak terytorium jego jest czasowo okupowane. Posiadamy natomiast ten plus, że Polska nie przestała walczyć na lądzie, w powietrzu i na morzu, oraz, jak zaznaczyliśmy wyżej, że nadal związana jest traktatem równości z W. Brytanią.

Oba te plusy dają gwarancję, iż w każdym wypadku potężni nasi Sojusznicy, stać będą na stanowisku interesów polskich i o nie na równi z Polską walczyć.

Zadaniem zaś każdego rządu polskiego jest i będzie, ażeby z tych, nader dla nas przychylnych warunków, wypływających właśnie z traktatu polsko-brytyjskiego, nie uronić żadnych możliwości.

Poniżej umieszczamy brzmienie dwóch pierwszych punktów traktatu, omówionego przez Ignacego Matuszewskiego w artykule p.t. "25 sierpnia 1939".

Treść obu tych punktów sama przez się mówi o znaczeniu, jakie posiada dla Polski zawarty w owym czasie traktat polsko-brytyjski.

Art.1 głosi: "Jeśli jedna z umawiających się Stron zostanie zaangażowana w działania wojenne /hostilities/ z Mocarstwem Europejskim na skutek agresji tegoż przeciw niej - wówczas druga umawiająca się Strona udzieli natychmiast umawiającej się Stronie, zaangażowanej w działania wojenne, pełnego poparcia i pomocy, jakimi włada".

Artykuł ten jest wzajemnym poręczeniem sobie przez W. Brytanię i Polskę nienaruszalności granic. Agresja oznacza bowiem pogwałcenie - na lądzie, na wodzie lub w powietrzu - praw napadniętego nad jego terytorium. Wejście wojsk niemieckich czy rosyjskich na ziemię polskie, bombardowanie Londynu przez Niemców, Suezu przez Włochów, albo Bassory przez Rosjan - byłoby agresją przewidzianą w tym artykule. Zobowiązałyby W. Brytanię wobec Polski, a Polskę wobec W. Brytanii do wystąpienia zbrojnego po stronie napadniętego sojusznika.

Trzeba zdać sobie sprawę - i pamiętać - że użyte tutaj ogólne określenie "Mocarstwa Europejskiego", jako przeciwnika W. Brytanii i Polski nie jest przypadkowe. Aczkolwiek zbliżenie polsko-brytyjskie zrodziło się na tle polityki niemieckiej - to jednak w chwili podpisywania traktatu jasne już było, że Włochy /po czerwcowej umowie Ribbentrop-Ciano/ i Rosja /po sierpniowej umowie Ribbentrop-Mołotow/ mogą być nastawnikami. Określenie ogólnikowe "Mocarstwo Europejskie", umieszczone w traktacie podpisanym 25 sierpnia - było tam umieszczone po to właśnie, aby objąć nim wszystkich możliwych napastników.

Nie zmienia, ani nie uszczupla tego wzajem-

nego zobowiązania fakt, że po agresji sowieckiej na ziemię polskie - W. Brytania nie wypowiedziała Sowiетom wojny. Bowiem Polska tego od niej nie zażądała. Nie zażądała z łatwo zrozumiałych chwilowych względów wojskowych. Ale Rząd Polski, w nocy z 18 września 39 r. wyraźnie zastrzegł sobie prawo odwołania się w odpowiedniej chwili do postanowień traktatu. Nota Becka brzmiała: "Rząd Polski oczekuje od sojuszniczego Rządu W. Brytanii kategorycznego protestu przeciw agresji, popełnionej przez ZSSR. Rząd Polski rezerwuje sobie prawo odwołania się do swoich sojuszników zważywszy na zobowiązania, jakie na nich ciążyą na mocy zawar tych traktatów. /Polska Biała Księga dokument 177/.

Artykuł więc pierwszy sojuszu polsko-brytyjskiego gwarantował wzajemnie nienaruszalność terytorialną obu tych państw wobec każdego z Mocarstw Europejskich. Artykuły następne rozwijały sojusz: po gwarancji nienaruszalności terytorialnej wprowadzały wzajemną gwarancję zachowania takiego układu stosunków w Europie, któryby odpowiadał ich interesom i bezpieczeństwu.

Artykuł 2-gi mówi: "Postanowienia artykułu pierwszego /t.j. pełna pomoc wzajemna/ znajdują zastosowanie w wypadku jakiegokolwiek akcji któregokolwiek z Mocarstw Europejskich, zagrażającej, pośrednio lub bezpośrednio, niepodległości jednej z umawiających się Stron w taki sposób, że Strona ta uznałaby za niezbędne /vital/ zbrojne przeciwstawienie się temu".

"Jakakolwiek akcja" któregoś z mocarstw Europejskich nie oznacza tutaj tego tylko, że W. Brytania była zobowiązana wystąpić po stronie Polski w wypadku zagarnięcia Gdańska. Oznaczało to także, że Polska byłaby zobowiązana wystąpić zbrojnie, gdyby np. Niemcy weszli do Belgii, lub wylądowali w Irlandii, a Brytyjczycy uznali taką akcję za zagrażającą ich niepodległości. Więcej - Polska byłaby zobowiązana wystąpić, gdyby np. - wbrew woli W. Brytanii - Rosja

## Wojna wśród bakterii.

W miesięczniku "Electronic Engineering" /July 1943/ znajdujemy dwie fotografie preparatów bakteryj, znanych pod nazwą Escherichin coli /coli bacillus/ i bardzo pospolitych w ustroju ludzkim. Na jednej fotografii widać w powiększeniu 30.000-krotnym bacillus coli i jego wroga "bakteriofaga anti-coli PC". Medycyna od dawna wiedziała, że przy sztucznej hodowli drobnoustrojów na pożywkach, nagle w pewnej generacji hodowla zaczyna ginąć, "chorować", jak byśmy to powiedzieli w odniesieniu do wyższych ustrojów. Na jakiś czas trzeba było mozolną pracę sztucznej hodowli danego drobnoustroju /bakterii/ porzucić, przeczekać i przeprowadzać wielokrotne odkażanie naczyń i pomieszczeń, aby móc z powrotem zabrać się do przerwanej pracy. W roku 1915 F.W. Twort, a w 1918 r. F.d'Hérelle zaczęli bliżej tę dziwną "chorobę" drobnoustrojów badać i dali temu czemuś, co chorobę i śmierć bakterii powodowało nazwę "bakteriofaga". Nie można było jednak nic dojrzeć pod żadnym powiększeniem ówczesnym, mimo użycia najsilniejszych mikroskopów, dających 1800-krotne powiększenie.

Lekarze świata całego wiedzieli, że znane im drobnoustroje są zwalczane przez owe własne, śmiertelne dla nich bakterie. Dopiero cudowny wynalazek fal elektromagnetycznych, zwanych dziś pospolicie falami radiowymi, pozwolił, dzięki stałemu pogłębianiu wiedzy o nich, nie tylko wykrywać zbliżające się nieprzyjacielskie samoloty i łodzie podwodne, lecz również zobaczyć, a nawet sfotografować wroga drobnoustroju - jego własną, niszczącą bakterię. Na omawianej fotografii obok bacillus coli widać kilkanaście w polu widzenia "bakteriofagów coli", podobnych do plemnika, których główka ma przekrój około 0,08 mikrona /1 mikron równa się 1/1000 milimetra/, ogon zaś długości około 0,12 mikrona. Ogon, podobnie jak u plemnika, służy do poruszania się, przy czym u tych "bakteriofagów", które znajdują się tuż przy ustroju

bacillus coli, ogona już nie widać: odpadł on z emocji wobec oczekiwanej uczty, lub też porusza się z szybkością większą niż fale światła i dlatego go nie widać. Bakteriofagi mnożą się z szybkością ponad 100 sztuk w ciągu 1/2 godziny, co oznacza, że w 4 minuty od "urodzenia" są gotowe do godów weselnych. Oczywiście wniknięcie bakteriofaga w drobnoustroj powoduje jego rozpad zupełny i śmierć.

Mikroskop elektronowy jest wynalazkiem dr. V. K. Zworykina, pracującego w Stanach Zjednoczonych w Radio Corporation of America. Daje on powiększenie blisko 50,000-krotne.

Przed medycyną stoi obecnie wielkie zagadnienie wykrycia dla chorobotwórczych drobnoustrojów tyfusu, cholery, czerwonki itd. właściwych zabójczych dla nich "bakteriofagów", wyhodowanie ich i podanie ustrojowi ludzkiemu, opanowanemu przez daną chorobę zakaźną. Wiądną epidemię w ten sposób może zniknąć z kuli ziemskiej. Tak więc wynalazek, zdawałoby się nie mający nic wspólnego z medycyną, dzięki pracy uczonych, poświęcających całe swe życie badaniom naukowym, może się stać dobrodziejstwem całej ludzkości.

Dokończenie zesz. 5-taj.

Janie weszli do Afganistanu; W. Brytania zaś by-  
łaby zobowiązana walczyć, gdyby - wbrew woli  
Polski - Niemcy lub Rosjanie weszli do Kowna,  
czy Rygi.

Takie jest wyraźne brzmienie traktatu i takie  
są zobowiązania zeń wypływające.

Przez treść artykułu drugiego sojusz brytyjsko-polski z sierpnia 1939 r. sięgnął więc daleko poza zdawkową formułę o "uzgadnianiu" posunięć politycznych. Przez rozciągnięcie obowiązku wzajemnej pomocy zbrojnej na wypadek jakiegokolwiek akcji, zagrażającej bezpośrednio lub pośrednio niepodległości W. Brytanii czy Polski - traktat z 25 sierpnia 39 r. stworzył realną wspólną politykę polsko-brytyjską w sprawach Europy.

## Szczęśliwy kraj.

Amerykański podróżnik i dziennikarz, John Gunther, zamieścił w "Current History and Forum" bardzo ciekawą charakterystykę małej, środkowo-amerykańskiej republiki - Costa Rica. Według zdania autora, jest to jeden z najpiękniejszych na świecie krajów, rządzący się przy tym według najczystszych demokratycznych zasad. Nie ma tam armii, a prezydent Costa Riki pobiera za ledwie 268 dolarów miesięcznie. Jest to kraj, zamieszkały przez ludzi spokojnych, pracowitych i uczciwych, prowadzący swą politykę bez zarzutu, jednym słowem kraj bez dyplomacji i tajemnic.

Costa Rica, co oznacza "bogate wybrzeże", jest najbardziej na południe położoną republiką środkowo-amerykańską, sąsiadującą z republiką Panamską. Na powierzchni mniejszej niż stan Zachodniej Virginii mieszka około 600000 ludzi. Jest to kraj górzysty i bardzo malowniczy: obydwie wybrzeża morskie wznoszą się stromo w górę, tworząc centralny płaskowyż, gdzie na wysokości 3800 stóp leży stolica kraju, San José.

Podobnie jak sąsiednie republiki Guatemalę, Honduras, Nicaragua i Salwador, Costa Rica uzyskała niepodległość w 1821 r., po wyzwoleniu się od Hiszpanii. Historia Środkowej Ameryki w ciągu następnego stulecia była dość burzliwą, z wyjątkiem jednej Costa Riki. Kraj ten w cudowny niemal sposób zachował się jako oaza szczęśliwości i spokoju. Było tam za ledwie kilka rewolucji i to przeważnie bezkrwawych.

Powszechne wybory odbywają się tam w porządku i spokoju co cztery lata. Według prawa każdy obywatel musi głosować. Prezydent może sprawować swój urząd tylko przez jeden okres. Jest on odpowiedzialny przed Kongresem, który ma prawo weta w stosunku do polityki prezydenta i często korzysta ze swego przywileju. Istnieją tam 2 partie polityczne, nie różniące się zbyt wiele między sobą i one kolejno sprawują rządy. Liczna i silna prasa cieszy się całkowitą swob



dą. Istnieje duże poszanowanie swobód obywatelskich. Zamykanie ludzi za politykę jest w Costa Rica rzeczą zupełnie niespotykaną.

Istniejący w tym kraju spokój wewnętrzny jest wynikiem kilku szczęśliwych okoliczności. Hiszpanie, zdobywszy Costa Rikę, przybyli tam od północy. Byli oni spokojnymi osadnikami i farmerami. Plemiona indyjskie, ustosunkowane bardzo wrogo do białych, szybko wytrzebiono. Obecnie pozostało zaledwie 500 Indian czystej krwi. W kraju tym nie istnieje przeto problem rasowy.

Poza tym w Costa Rica nie ma silnej klasy wojskowej, jak to ma miejsce w innych amerykańskich republikach. Nie ma wogóle ministra wojny. Generałowie nie posiadają ambicji politycznych, z tej choćby prostej przyczyny, że ich tam jest niewiele. Armia składa się z 82 oficerów, 242 zaciężnych żołnierzy i 220 muzykantów. Oficerowie są mianowani przez prezydenta i zwykle po zmianie administracji podają się do dymisji. Płace urzędników i wojskowych są bardzo skromne. Kapitan w armii pobiera 31 dolarów miesięcznie, prowincjonalny gubernator 73 dolary, sędzia sądu najwyższego 165 dolarów, a członek Kongresu 82 i pół dolara plus diety w czasie posiedzeń Kongresu.

Trzecim czynnikiem, który przyczynił się do ugruntowania spokoju i porządku demokratycznego, jest łagodne usposobienie ludności. Jeden z przyjaciół autora opowiadał mu przebieg wydarzeń w 1918 r. "Mieliśmy wówczas kłopoty, na szczęście krótkotrwałe. Prezydentem był wówczas Frederico Tinoco, niezbyt przyjemny człowiek. Ludność była niezadowolona. Dwa tysiące dzieci szkolnych wraz z nauczycielami poszło protestować pod siedzibę prezydenta. Brat prezydenta kazał skierować na nie wodę ze strażackich sikawek. Kilku jednak chłopców niespostrzeżenie przedostało się przez bramę i przecięło węże sikawek. Wszyscy śmieli się do rozpuku i podniecony nastrój ustąpił natychmiast. Poszliśmy do domu spać, a następnego dnia prezydent zrezygnował".

Niski procent analfabetów i wielka uwaga i opieka, jaką rząd otacza oświatę są, rzecz prosta, również poważnymi czynnikami demokratyzacji kraju. Costa Rica jest dumna z tego, że ma więcej szkół niż posterunków policyjnych; 659 szkół i 2654 nauczycieli. Nauczanie jest obowiązkowe i bezpłatne.

Costa Rica spośród wszystkich republik łacińskich posiada największy procent właścicieli rolnych: 89,389 osób włada 198,629 gospodarstwami. Wielkich majątków jest stosunkowo mało. Nic więc dziwnego, że rewolucja nie może udać się w kraju, gdzie 80% ziemi należy do drobnych rolników.

Łudność składa się przeważnie ze stanu średniego lub średnio zamożnego. Członkowie wybitniejszych rodzin, kierujących życiem politycznym i gospodarczym kraju, pobierają się prawie wyłącznie między sobą. Setki kuzynów i krewniaków znajdują się od dzieciństwa. Gdy więc spotykają się jako politycy w przeciwnych obozach, walka polityczna odbywa się według pewnych, od dawna ustalonych prawideł. Doskonały klimat kraju wpływa również na usposobienie i obyczaje mieszkańców. Cały rok prawie trwają łagodne letnie dni, przerywane chłodnymi, orzeźwiającymi nocami. Mimo, że Costa Rica jest krajem dość wysoko położonym, jest po większej części płaskowyżem i ludność nie jest wyczerpana różnicami wysokości, jak w Meksyku i Guatemali, ani też wilgotnym i upalnym klimatem jak w Nicaragui i Panamie.

Prezydent Costa Riki, Dr. Rafael Angel Calderon Guardia, jest stosunkowo człowiekiem młodym, urodzonym w 1900 r.; jest z zawodu lekarzem, specjalistą od raka. Ojciec jego, Dr. Rafael Calderon Munoz /również lekarz/ jest konsulem republiki w San Francisco i zastępcą prezydenta.

Autor, chcąc doręczyć listy polecające Sumner Wellesa, udał się do siedziby prezydenta w San José. Był to zwykły drewniany dom; prezy-

dent był chory, a odpowiednie ogłoszenie informowało o tym interesantów. Było to konieczne, gdyż w normalnym czasie prezydent przyjmuje wszystkich osobiście i o każdej porze dnia. Po-koje przyjęć są zwykle przepełnione. Rolnicy i robotnicy z petycjami, urzędnicy ze swymi urzędowymi sprawami i wogóle pełno tam ludzi, którzy chcą swe bolączki przedstawić prezydentowi osobiście.

Tradycja wymaga, aby prezydent zachowywał się jak zwykły obywatel. Spaceruje on po ulicach miasta bez żadnej asysty. Można go nieraz ujrzeć opartego o płot swego ogrodu i gawędzącego z sąsiadem. Jeżeli udaje się do kinematografu kupuje bilet jak wszyscy, gdy wyjeżdża ze stolicy, staje w ogonku do kasy biletowej. Jednym słowem stara się on w niczym nie różnić od swych współobywateli.

Autor widział się z prezydentem krótko, a po-za tym rozmawiał z jego bratem, ministrem spraw wewnętrznych. Na pytanie w jaki sposób Stany Zjednoczone mogą pomóc Costa Rica, padła odpo-wieź: "Tyko gospodarczo. Kupujcie naszą kawę. Dajcie nam pożyczkę. Pomóżcie nam wyzyskać na-sze zasoby krajowe. Naprzykład Stany Zjednoczo-ne potrzebują manganu. Costa Rica posiada man-gan, lecz pomóżcie nam rozwinąć jego produkcję".

60% mieszkańców utrzymuje się z produkcji ka-wy. Do wybuchu wojny większość zbiorów kawy sprzedawano do W. Brytanii i Niemiec. Obecnie zaś Costa Rica bardzo boleśnie odczuwa ograniczenie swego eksportu z powodu wojny. Stany Zjednoczo-ne były zawsze najlepszym odbiorcą złota, bana-nów, kakao i kawy. W ostatnich latach Ameryka za-kupuje 200,000 worków kawy rocznie, pragnąc zła-godzić kryzys, lecz jest to zaledwie połowa zbio-rów kawy, eksportowanej przed wojną.

W 1940 r. amerykański bank eksportowy udzielił Costa Rica 4,600 tysięcy dolarów pożyczki na przedłużenie pan-amerykańskiej drogi z San José do granicy Panamy. Budowa ma trwać cztery lata, a tysiące robotników uzyskało przy niej pracę.

Costa Rica posiada wielkie strategiczne znaczenie z powodu bliskości kanału Panamskiego. Wpływy niemieckie w swoim czasie były dość duże gdyż 20% plantacji kawy należy do właścicieli Niemców i poprzedni rząd zdradzał pewne sympatie pro-niemieckie. Wpływy te obecnie zmalały. Rząd prezydenta Calderon Guardia jest wybitnie pro-amerykański i bardzo silnie przeciwdziałał propagandzie niemieckiej i próbom akcji ze strony piątej kolumny.

Costa Rica na każdym polu usiłuje bronić umiarkowanej wolności, a swymi rządami dowiodła, że potrafi ona zachować swój demokratyzm.

### Wraczyska chwila w Kanadzie.

Dzień 9 września 1940 r. był dniem historycznym dla Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Na brzegu jednego z portów wschodniej Kanady stało w formacjach 1000 marynarzy amerykańskich. Panującą ciszę przerwali trębacze, zagrawszy sygnał "Do Sztandaru". Gwiazdiste flagi, łopoczące na masztach amerykańskich torpedowców, powoli opuściły się w dół. Pierwsza partia spośród 50 torpedowców została przekazana W. Brytanii przez marynarkę wojenną Stanów Zjednoczonych. W tym momencie torpedowce utraciły swoją przynależność państwową, będąc w ciągu jednej godziny bez załogi i nie należąc do nikogo.

Jest to smutna chwila i nikt z Brytyjczyków czy Kanadyjczyków nie asystował w ceremonii opuszczenia flagi. Chwila to zbyt ciężka dla każdego z marynarzy, gdy zmuszony jest opuścić swój stary statek.

Nagle na bruku przystani rozległy się kroki maszerujących marynarzy brytyjskich. Ustawili się obok przydzielonych im statków. Oficerowie obu narodów stali razem. Rozległa się trąbka, dająca sygnał "alarmu", poczem "Do Sztandaru" i flaga "Union Jack" uniosła się w górę jednocześnie na przodzie wszystkich statków. Wskazywała ona, że torpedowce weszły w służbę Jego Królewskiej Mości. Oficerowie uścisnęli sobie

Dok. na str. 21.

## Rola Darlana w Afryce.

Podajemy w streszczeniu trzeci z kolei artykuł amerykańskiego dziennikarza Demaree Bess, za mieszczącego w "Sunday Express".

Darlan został zamordowany w wilię Bożego Narodzenia 1942 r. Śmierć jego nie wywołała poważniejszych trudności politycznych w Afryce. Autorytet generała Giraud uznany został bezapelacyjnie przez armię francuską, a administracja cywilna funkcjonowała normalnie, wytrzymując śmierć swego szefa bez wstrząsów. W dwa dni po śmierci Darlana gen. Giraud objął kierownictwo spraw politycznych, zatrzymując równocześnie naczelne dowództwo.

Autor analizuje rolę Darlana w Afryce i zadaje sobie pytanie, czy dobrze się stało, że Sprzymierzeni weszli w porozumienie z tym niepewnym człowiekiem? Czy nie lepiej byłoby odsunąć go zupełnie i zmusić dowódców wojskowych i administrację cywilną do uznania gen. Giraud?

Na podstawie posiadanych danych zostało stwierdzone, pisze autor, że Darlan sumiennie wykonał wszystkie swe zobowiązania wobec Sprzymierzonych i nie pokrzyżował ich planów, jak się obawiali niektórzy brytyjscy politycy. W ciągu sześciu tygodni sprawowania władzy politycznej w Afryce, pomógł on wiele: doprowadził do zawieszenia broni i dzięki jego wpływom Zachodnia Afryka opanowana została bez rozlewu krwi. Nawet po określeniu jego roli przez prez. Roosevelta jako "chwilowej konieczności", próbował on przekonać admirała Godefroy'a, dowódcę floty francuskiej, internowanej w Aleksandrii, oraz admirała Robert na Martynice, aby przystąpili do wspólnej walki przeciwko Niemcom. Poza tym czynił co mógł, aby wydobyć flotę francuską z Toulonu.

Na dwa tygodnie przed śmiercią, Darlan napisał list do jednego ze swych brytyjskich przyjaciół. List ten nieco wyjaśnia jego postępowanie od 1940 r. Przypomina on, że 2 czerwca 1940 r. Churchill przyleciał do Toulonu, aby

przekonać się, czy możnaby jeszcze czegośkolwiek uratować w tej krytycznej dla Francji godzinie. W głównej kwaterze francuskiej spotkał się z Weygandem i Darlanem. Churchill wziął Darlana na bok i powiedział doń: "Admirale, liczę, że nigdy nie odda pan floty francuskiej Niemcom". Darlan odpowiedział, że cokolwiek się stanie, flota nie przejdzie w ręce Niemców, lecz jednocześnie odniósł wtedy wrażenie, że Churchill nie ufa całkowicie jego słowom. Obecnie, brzmi list dalej, zarówno Churchill jak i wszyscy Brytyjczycy przekonali się, że Darlan dotrzymał słowa.

Prawdą jest, że od stycznia 1941 r. do kwietnia 1942 r., zmuszony był, stosując się do rozkazów Petain'a, prowadzić politykę wręcz przeciwną polityce brytyjskiej. Pragnął on tym sposobem uchronić Francję od zupełnego zniszczenia. Darlan stawia w liście pytanie: "Jakiej pomocy mogła wówczas W. Brytania udzielić Francji? Gdybyśmy postąpili w owym czasie według życzeń W. Brytanii, armia brytyjska nie byłaby dziś w Tunisie".

"11 listopada dowiedziałem się, że Niemcy, mimo protestów marsz. Petain'a, zajęli południową Francję. Uznałem wtedy, że mogę działać na własną rękę i zająć takie stanowisko, jakie uważałem za najbardziej pożyteczne dla Francji. Lecz nigdy nie potrafiłbym niczego osiągnąć, gdybym poprzednio nie służył Petain'a".

Takie jest ostatnie wyznanie Darlana. Mamy za mało danych, aby przesądzać wyrok historii. Po jego śmierci jeden z oficerów brytyjskiej floty, który współpracował z nim ostatnio w Afryce, wypowiedział opinię: "Historia prawdopodobnie uzna Darlana wielkim francuskim patriotą". Oficer ten był przekonany, że w sprawie Darlana zaszczytne niepozerowanie jak w sprawie króla Belgów, i że jego subtelna polityka miała na celu jedynie uchronienie Francji przed grabieżą Niemców.

Nie wiemy, jaki będzie ostateczny wyrok co do roli Darlana, lecz obecnie już można powiedzieć, czy zachowanie się jego w Afryce było korzystne dla interesów brytyjskich i amerykańskich. Udzie

lona przez niego pomoc w akcji wojskowej dała wyniki pozytywne, powstają natomiast wątpliwości przy rozpatrywaniu zagadnień politycznych.

Darlan oparł swą politykę na depechy radiowej otrzymanej w kilka dni po wylądowaniu Sprzymierzonych. Depesza ta nadeszła do admiralicji francuskiej w Algierze, pochodziła od przyjaciela Darlana we Francji i nadana została umówionym poprzednio szyfrem. Zawarte w niej wiadomości miały pochodzić wprost od Petain'a. Petain aprobował politykę Darlana współpracy ze Sprzymierzonymi, chociaż nie mógł wypowiedzieć się na ten temat otwarcie z powodu tragicznej sytuacji, w jakiej się znalazła Francja.

Niezależnie od tego, czy wiadomość była prawdziwa, czy też nie, nie ulega wątpliwości, że miała ona znaczny wpływ na zachowanie się Francuzów w Algierze. Potraktowali oni depechę jako autentyczną i to zdecydowało o ich stosunku do Petain'a. Uznali oni, że obecnie polityka Petain'a staje się prealiancka, a tym samym antyniemiecka. Z tego powodu Francuzi w Afryce powstrzymywali się od wszelkiej krytyki osoby Petain'a. Opinia ta była tak powszechna, że władze wojskowe Sprzymierzonych musiały się z nią liczyć.

Polityka Petain'a do tej pory polegała na przekonaniu, że jest możliwy kompromis między Francją a hitlerowskimi Niemcami. Generał de Gaulle zaś uważał, że kompromis taki jest niemożliwy i walka między obu krajami musi być rezerwana do końca. Lecz istniały jeszcze inne różnice, może nawet ważniejsze niż poprzednia. Petain tolerował autorytatywny régime, stworzony przez Laval'a, przypominający pod wieloma względami niemiecki narodowy socjalizm. Gen. de Gaulle odrzucał kategorycznie tę formę rządów, jako obcą i wrogą interesom narodu francuskiego.

Po śmierci Darlana wydawało się, że nadszedł czas aby wykonać żądane przez prez. Roosevelta anulowanie wszystkich praw i przepisów, wydanych pod naciskiem rządu niemieckiego lub też pod

wpływem nazistowskich ideologów. Śmierć Darla-  
na opóźniła załatwienie tych spraw, gdyż gen.  
Giraud musiał ponownie na ten temat przeprowa-  
dzić rozmowy z różnymi francuskimi ugrupowania-  
mi. Poza tym należy pamiętać, że administracja  
francuska nie została zmieniona po lądowaniu  
Sprzymierzonych. Potrzeba więc było trochę cza-  
su, aby sprawdzić, którzy z administratorów  
francuskich sympatyzują z nowymi prawami, wpro-  
wadzonymi pod naciskiem niemieckim, a którzy z  
nich je zwalczają. Polityka Sprzymierzonych  
szła w tym kierunku, aby projektowane reformy  
prawne wprowadzone zostały przez samych Francu-  
zów.

Gen. Giraud również nie był za gwałtownymi  
zmianami, nie uważał bowiem swej pozycji w  
Afryce za zbyt mocną. Twierdził on, że nie  
uzyska on żadnego wpływu na Francuzów, jeśli  
opierać się będzie wyłącznie na sile wojskowej  
Sprzymierzonych. Styczeń i luty 1943 r. poświę-  
cono więc na reorganizację i wyekwipowanie woj-  
ska francuskiego, które wysłano następnie na  
front do Tunisu. Jednocześnie jednak adminis-  
tracja francuska pod kierunkiem Giraud spokoj-  
nie przygotowywała niezbędne reformy dla przy-  
wrócenia poprzedniego stanu prawnego. Gdy w  
końcu marca nowe prawa zostały ogłoszone, przy-  
jęte zostały z ogólnym zadowoleniem przez  
wszystkich, z wyjątkiem najskrajniejszych ele-  
mentów.

W ten sposób przygotowano grunt dla porozu-  
mienia się generałów Giraud i de Gaulle'a.  
Rząd brytyjski i amerykański spodziewały się,  
że uda się doprowadzić do tego porozumienia w  
Casablance, w czasie spotkania prez. Roosevelta  
z Churchillem. Nadzieje te zawiodły z powodu  
nieprzejednanego stanowiska gen. de Gaulle.  
Sympatycy jego w Ameryce i W. Brytanii twierdzi-  
li, że istnieją zasadnicze różnice między gru-  
pą Francji Walczącej w Londynie, a Francuzami  
w Afryce. Na czym polegały te różnice?

Gen. de Gaulle zgodził się na wejście komu-



nistów do Komitetu Francji Walczącej, osiągając tę drogą reprezentację, złożoną ze wszystkich grup politycznych od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Gen. Giraud nie dopuścił komunistów do reprezentacji politycznej w Afryce, mimo, że zwolnił z więzień deputowanych komunistycznych, którzy uwiecznieni byli za walkę z wysiłkiem wojennym Francji w tym okresie jeszcze, gdy Rosja współpracowała z Niemcami. Z drugiej zaś strony Giraud zgadzał się na udział w reprezentacji politycznej Afryki tych Francuzów, którzy byli zwolennikami Petain'a i nie uważali go za tak czarnego, jakim go malowano. De Gaulle odrzucił zaś od początku wszelką współpracę ze zwolennikami Petain'a.

W rozkazie dziennym, wydanym w dzień święta Joanny d'Arc, gen. Giraud złożył hołd Brytyjczykom i Amerykanom, walczącym o oswobodzenie Tunisu. Poza tym jednak bardzo gorąco podkreślił zasługi żołnierzy francuskich, którzy walczyli w Tunisie obok wojsk Sprzymierzonych, często źle uzbrojeni i wykwapowani. Jednocześnie ogłoszony został list Giraud do de Gaulle'a, proponujący wspólne spotkanie w Afryce.

Do spotkania tego na razie nie doszło, gdyż de Gaulle wygłosił w Londynie ostre przemówienie, kładąc nacisk, że Francuzi muszą wybierać między de Guallizmem a Petainizmem. W ten sposób zignorował on istnienie trzeciej grupy Francuzów, którzy chcieli pozostać po prostu Francuzami bez żadnego bliższego określenia. Giraud nie dał jednak za wygraną i 10 maja po zdobyciu Tunisu wysłał do de Gaulle'a drugi list, zawierający tak rozsądną formułę porozumienia, że de Gaulle nie mógł jej odrzucić. Formuła ta polegała na równości stanowisk Giraud i de Gaulle'a. Ponieważ jednak Giraud jest stosunkowo mało zainteresowany w zagadnieniach politycznych, daje to przewagę w tych sprawach de Gaulle'owi, o ile pozyska dla swej polityki umiarkowane sfery francuskie.

De Gaulle wraz ze swymi współpracownikami przybył do Algieru 30 maja. W tym też czasie

byli tam Churchill i Eden oraz szefowie brytyjskiego i amerykańskiego sztabu generalnego. Niewątpliwie autorytet tych mężów stanu i wojskowych przyczynił się bardzo do przekonania Francuzów, że ich zgoda i porozumienie jest istotne dla pomyslnego prowadzenia dalszej wojny.

Jak wiadomo z ostatnich wiadomości prasowych gen. Giraud sprawuje naczelne dowództwo wszystkich sił zbrojnych francuskich, zaś gen. de Gaulle objął kierownictwo spraw politycznych Francji Walczącej. Szereg państw sojuszniczych, między innymi Polska, uznały oficjalnie Komitet Oswobodzenia Francji w Algierze.

Czy wiecie, że...

Prezydent Roosevelt, jako młody prawnik, otrzymał do obrony w New Yorku bardzo trudną sprawę cywilną. Przeciwnikiem jego był stary, wytrawny adwokat. Jego argumentacja była nie do obalenia. Popęknął on jednak fatalną omyłką: przemówienie jego trwało parę godzin. W czasie długiej tyrady Roosevelt zauważył, że sąd nie bardzo słucha tego, co on mówi.

Gdy przyszła kolej na jego przemówienie, wstał i rzekł:

"Panowie! Znacie rzeczywisty stan rzeczy. Wyszukaliście także znakomitej przemowy mego kolegi, świetnego mówcy. Jeżeli wierzycie temu, co powie, działaj, a nie wierzycie oczywistym faktom, osądźcie sprawę na korzyść jego klienta. To jest wszystko, co mam sądowi do powiedzenia".

Narada sądu trwała zaledwie pięć minut. Ogłoszony werdykt brzmiał całkowicie na korzyść klienta Roosevelta.

Merry-Go-Round, Waszyngton.

Niechęć marynarzy do wypływania z portu w piątek przybrała takie rozmiary, że rząd brytyjski postanowił udowodnić fałszywość tego zabobonu.

Założono kil nowego statku w piątek, spuszczone go w piątek, nazwano go "H.M.S. Friday" i wysłano go w pierwszą podróż w piątek.

Pomysł był dobry, wszystko odbyło się według planu i w porządku. Nie poskutkowało z powodu jednej wady: nikt nigdy nie ujrzał więcej ani statku, ani załogi, gdyż wszelki ślad i słuch o nich zaginęło.

## Matka partyzantów.

W stolicy Chin, Czungkingu, wysiadła z samolotu pomarszczona, stara kobieta, ubrana na czarno i podpierająca się czarną hebanową laską. Wielki tłum witał ją, a mała dziewczynka ofiarowała bukiet pięknych kwiatów. Tego samego wieczoru na bankiecie u pani Chiang Kai-shek, otrzymała ona miano najdzielniejszej kobiety Chin.

A Japończycy w tym czasie wyznaczili nagrodę za ujęcie jej żywej czy umarłej - w wysokości 50.000 yen.

W ciągu dwunastu lat ta, na pierwszy rzut oka nieszkodliwa, cicho mówiąca stara kobieta, licząca obecnie 68 lat, kieruje osobiście walką przeciw Japończykom. W całych Chinach znana jest pod nazwą "Mamy Mosquito", a dowodzi 30000 ludzi, walczących w dzikich górach na zachód od Pekinu. Prawdziwe jej nazwisko brzmi: pani Chao.

Rodzaj walki, prowadzonej przez nią może złamać ducha najeźdźców. Jej żołnierze, to amatorzy, którzy nigdy nie wytrzymaliby walki w otwartym polu, przeciw nowoczesnej wojennej machinie. Lecz w nocy potrafią oni wybijać całe kompanie Japończyków.

Osobista wojna pani Chao przeciw japońskiemu cesarzowi rozpoczęła się w 1931 roku, gdy zabrali oni Mandżurię. Namówiła swych dwóch synów i czterech ich przyjaciół, wydestała skądś 10 karabinów i posłała ich w góry bić wroga. W swej kwaterze głównej wybudowała podziemny szpital i składy na amunicję i żywność. Tam też sama wprawiała się w strzelaniu. Gdy pewnego razu udało jej się schwycić dwóch japońskich wartowników, nieufni dotychczas wieśniacy chińscy podporządkowali się jej i wtedy zdobyła pierwszych stu ochotników.

Od tego czasu kierowała wyprawami swych żołnierzy, sama je planowała i według jej rozkazów organizowane były poszczególne wypadki. Sztab jej składał się z 75-cio letniego męża, dwóch pozostałych synów i studentki-córki. Według raportu z przed 2-ch lat posiadała ona na swym koncie -

5000 zabitych Japończyków, sama straciła 700 swych partyzantów. Zdobyła jej wynosiła: 6000 karabinów 150 karabinów maszynowych, 100000 skrzyń amunicji; 230 wojskowych samochodów. Ani jednego żywego Japończyka nie wzięto do niewoli.

W 1934 roku Japończycy przyszedli do jej wsi, zebraли wszystkich mieszkańców, wybrali z pośród nich pięciu najbardziej znanych obywateli i przy pomocy tortur starali się wydobyć od nich potrzebne im informacje. Niczego się nie dowiedziawszy spalili ich na stosie pośrodku wsi.

Parę miesięcy później chwycili mamę Mosquito. Stu japońskich żołnierzy, prowadzonych przez pięciu chińskich szpiegów, otoczyło jej dom. Wyciągnięto ją na dwór i oświetlono twarz.

"Tak, rzekł jeden ze szpiegów, to jest ten czort we własnej osobie".

Gdy postawiono ją przed sądem, podeszła kulując do stołu sędziowskiego i, grzecznie skłoniwszy się przed sędzią, rzekła:

"Jestem starą kobietą, czy wyglądam na osobę posiadającą dostateczne siły, aby dowodzić powstańcami?"

Sędzia przytaknął, jakby zgadzając się ze zdaniem skłabej, starej niewiasty. Ale prokurator oskarżył ją również o udzielanie informacji o ruchach wojsk japońskich.

"Nie opuszczałam mieszkania od ostatnich uroczystości dożynkowych po zebraniu ryżu", zapisała ponownie, "lecz moje stare uszy słyszą dużo. Wiem na przykład o pięciu ludziach we wsi, biorących pieniądze od obu stron. Opłacani oni są, aby w porę uprzedzać partyzantów o zbliżających się oddziałach japońskich."

"Podaj ich nazwiska, a zwolnię cię natychmiast" warknął sędzia.

Mama Mosquito zrogowaciałym palcem wskazała na pięciu Chińczyków, którzy spowiedowali jej aresztowanie.

"To oni" - rzekła.

Opisanych donosicieli powieszono, a mama

Mosquito po zwolnieniu dobrze się ukryła.

Wszyscy agenci japońscy posiadają jej fotografie. Kobięca policja japońska we wszystkich okupowanych prowincjach bada każdą napotkaną kobietę. Nie potrafili jednak rozpoznać starej, ślepej kobiety, sprzedającej warzywa na rynku w Tientsinie. Nie wiedzieli również, że potrafiła ona dwanaście razy dostać się do Pekinu, przeciskając swe chude ciało przez wąską szczelinę w murze, otaczającym miasto.

Pewnego razu, gdy opuszczała Hankow, władze chińskie chciały ją odwieść samochodem na stację. "Co? - rzekła - mam jechać samochodem? Moi żołnierze pomyśleliby, że zapomniałam jak oni żyją w górach". Pochwyliła swą starą walizę i piechotą udała się na stację. Wyżsi chińscy dowódcy stali na baczność, gdy pociąg opuszczał dworzec.

Ciężkie i trudne życie wojenne wyczerpało jej siły mocno, a zarzucane przez Japończyków sieci coraz bardziej się zaciskają. Przed dwoma laty najeźdźcy posłali ekspedycję, złożoną z 6000 żołnierzy i 50 samolotów. Kiedy akcja Japończyków zakończyła się, mama Mosquito śmiejąc się przyczłapała do swej nory; partyzanci stracili zaledwie siedemastu ludzi.

Długo jeszcze Japończycy nie potrafią uborać się z tym, wymykającym się ciągle z ich rąk, demonem śmierci.

### Dokończenie ze str. 12.

repe i ceremonia została zakończona.

Gdy brytyjskie załogi zajęły statki rozległa się wszędzie pieśń: "There will allways be an England".

Pod pokładem spotkała brytyjskich marynarzy niespodzianka - zamiast zwykłych hamaków, każdy otrzymał do spania tapczan z prawdziwymi sprężynami. Magazyny statków zapełnione były wszelakim sprzętem i żywnością, z wyjątkiem... rumu. Ale tego samego popołudnia oficjalna sucha era się zakończyła i pierwsze, legalnie podane trunki krążyły pośród zaproszonych na uroczystość oficerów marynarki Stanów Zjednoczonych.

## Pamiętnik żołnierza

J. Godziszewski.

Wydawało mi się, że jednoczesne ukazanie się kilku grup nacierających z trzech kierunków, powinno spowodować pewne zamieszanie, a dla mnie wygraną na czasie. R.k.m-y drugiego plutonu mają otworzyć ogień na wprost równoległe z c.k.m., a potem jednocześnie go przerwać /obawiam się trochę tego strzelania nad głowami/. O ile akcja będzie wykonana precyzyjnie, powinna dać pełny sukces.

Po chwili plutony dają znak, że są gotowe. Moczulski też gotów. Cykliści, po zostawieniu rowerów, leżą za mną. Polecam więc obsłudze cekaemów podnieść się i po ustawieniu się obydwu c.k.m. na jednej wysokości startują.

-C.k.m. za mną biegiem marsz!

Wybiegamy kilkadziesiąt metrów, nie kryjąc się już i bez namysłu /każda sekunda droga/ wskazując miejsca, gdzie maszynki ustawić. Na pamięć raczej podaję cel, obracam się do kompanii i ciągle w milczeniu, daję znak: wyruszać!

Wszystko to trwa sekundy. Na wieś nie patrzę, bo nie mam czasu. Plutony ruszają jednocześnie, oficerowie na przedzie. Wtedy obracam się do wsi i pilnie ją obserwuję. Uczucie jak na polowaniu. Przyznaję, że serce mi zamiera i w gębie mam sucho a w uszach cisza aż dzwoni. Nic! Plutony idą Matko Boska, jeszcze kilka sekund. Plutony suną, już kawał odwalili. Na lewym skraju wsi ruch, krzyk.

C.K.M. ognia!!!

Cisza pęka! Rozgłośnie "hurra" przewala się, jak mi się zdaje, od krańca do krańca lasów. Karabiny grzmiają jak złoto. Chcę zasypać nieprzyjaciela jak największą ilością kul, bo zaraz strzelanie przerwę /mały spadek pozwala strzelać nad głowami krótko/. Ze wsi odpowiadają nieporządne, nieskoordynowane jakby, krótkie seryjki. Słychać motory.

-C.k.m., cel wylot drogi ze wsi i droga w górę,

ognia! Plutony biegną do wsi. Boże, jak pomału!  
A że wsi wylatują i walą w górę jeden za drugim,  
motocykle z przyczepami, parę aut i 3 czy 4 tanki,  
czy ciągniki. Moje Okmy milczą.

Wzruszenie podnieca mnie do nieprzytomności. -

-Jasny grom! Strzelacie, czy nie! Taka mać!!!

Plutony dochodzą do pożywej przed wsią.

Pierwszy karabin szczeknął, drugi zagrał!

-Złe! - kurz się wzbija za ostatnim pojazdem.

-Wyżej! Grzać na szczyt! Złe! lepiej! dobrze!!!  
Wal!!! - i wszystko znika w kurzawie.

Koniec. Plutony we wsi. Zgrzany jak po łaźni  
- wycieram pot i przytomnieję. Wygląda mi to na  
pojedynek bez wyników.

Drużyna odwodowa, która w czasie strzelaniny  
pochowała na wszelki wypadek łyby w bruzdy /naród  
kolarski naogół był bardzo ostrożny/, teraz wylazi  
i cieszy się.

-Ale wiali! A to grzanie dostali! i t.d.

Idę do wsi w rozpiętym mundurze, aby ochłonać  
i zastaję ogólną radość i podniecenie, oraz jesz-  
cze ogólniejszy bałagan.

Ppor. Piechota, otoczony rojem żołnierzy-gapiów,  
manipuluje przy działku przeciwpancernym. Mina  
jak u solenizanta.

-Więcej nic?

-Nic.

Porucznik Marzec wtrąca, że jest jeszcze jesz-  
cze jeden dziurkacz /tak nazywano niemiecki r.k.m/  
i czapka oficerska czy podoficerska.

Zarządzam zbiórkę. Żołnierze przynoszą jakieś  
postronki i, obsłużona przez całą drużynę ochot-  
ników, armatka jedzie jak na skrzydłach na górę  
i do lasu, a my zanią.

Tymczasem w cichym dotychczas lesie zmieniło  
się. Słychać hałasy, których tam być nie powinno  
Pojedyncze strzały rozlegają się i na północy, t.j.  
w stronie, skąd przyszedłem i na zachodzie, to jest

w kierunku, gdzie teraz powinien być pułk. Tylko że te strzały są znacznie bliższe. Pułk może być na szosie w odległości co najmniej kilku kilometrów.

Do kogo dranie strzelają? Zaczynam niepokoić się, aby nie wyszło tak, jak ze wszystkimi rzeczami na tej wojnie, które się straciło z oczu, t.j. żeby mi pułk nie zginął, albo żebym ja nie zginął pułkowi, co na jedno wychodzi.

Studiuję więc szczegółowo mapę i po naradzie z oficerami postanawiam nie wracać na drogę, z której przyszliśmy, a ruszyć wprost ku szosie na zachodnim krańcu lasu. Od miejsca, gdzie się znajdujemy, prowadzi do niej prosto jak strzelił, zaznaczona na mapie, przecięta w lesie linia. Ponieważ strzały w lesie rozbrzmiewają teraz wszędzie, nie widzę powodu, aby ich unikać i raczej wnioskuje, że, o ile nieprzyjaciel nawiązał kontakt z pułkiem, to moja interwencja od tyłu może dać doskonałe wyniki. Narazie atakowani nie jesteśmy i gwizdania kul nie słyszymy. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że jestem na tyle jakiegoś oddziału, cofających się Niemców, którzy mają w tej chwili solidnego "pugaja" czyli cykorię. Strzały te są oddawane prawdopodobnie na chybił trafił.

Ruszamy. Działko sprawia sporo kłopotu, bo do biedki uwiązać się nie dało i trzeba je wlec w zaprzęgu ludzkim. Po chwili strzały zbliżają się, więc pluton czołowy rozwijam w tyralierę i tak postępujemy, zachowując zupełną ciszę. Kompanię trzymam skupioną, bo w lesie panuje już zmrok.

Wyrastają przed nami nieoczekiwane przeszkody w postaci stromych wzniesień i karkołomnych spadków. Trudno, nie jest to właściwie droga, więc pretensji do niej mieć nie możemy. Biedki i działko spuszczaamy i wciągamy na rękach. Posuwamy się dalej, a strzelanina trwa ciągle tak samo, ani bliżej ani dalej.



Diabli wiedzą, kto i do kogo strzela!

Ponieważ przypuszczam, sądząc z odległości na mapie, że jestem już nie daleko od szosy, postanawiam sprawę wyjaśnić. Zatrzymuję kompanię, ubezpieczoną ze wszystkich stron, a sam z czołowym plutonem w tyralierce walimy szybko naprzód i po jakichś 200 metrach wyłazimy na szosę.

Pusto! Zachodni wylot z lasu, gdzie mam umówione "rendez vous", znajduje się przypuszczalnie niecały kilometr w lewo. Pułk powinien być nadejść z prawa. Strzały grzmiały przed nami, za szosą, na ukos w lewo. Ale i z prawa gdzieś daleko też odzywa się jakaś pukanina.

Gdzie mam iść? W prawo czy w lewo? Napoleon powiedziałby na odgłos strzałów. Ale te odzywają się teraz z różnych stron lasu. "Bez wodki nie rozbieriosz"!

Wysyłam więc patrole po szosie w jedną i drugą stronę, a kompanii zarządzam:

-Siadać, milczeć i papierosów nie palić.

Czekanie trwa nie długo, bo wraca patrol wysłany szosą w prawą stronę, t.j. w tył, i prowadzi łącznika z pułku. A więc ani pułk mi nie zginął, ani ja pułkowi. Jest on niedaleko, za szosą, a łącznik zostawiony został na szosie w miejscu, gdzie pułk skręcił na boczną drogę, pod prostym kątem, t.j. w kierunku, stanowiącym jakby przedłużenie kierunku, z którego obecnie przybyliśmy.

W drodze już wypytuje łącznika, co było.

-A nic nie było!

-A te strzały?

-A ot strzelają!

-Ale kto strzela?

-A cholera jego wie.

Po wyjściu na boczną drogę, maszerujemy, bo artyleria nieprzyjacielska wali z lewa, gdzie niedaleka, a przecież musi mieć i jakieś ubezpieczenia.

Kiedy raptem jakiś strzał armatni brzdęknał w bezpośredniej bliskości, aż mi w uchu zadzwoniło, i pocisk z hukiem przeleciał nam nad głowami, a jednocześnie stwierdziłem, że po drodze odbywa się ruch naszych łączników i spokojnie stoją tabory, przestając rozumieć, co za porządki panują w tym lesie i gdzie tu jest jaki front.

Znacznie później dowiedziałem się, że porządku w tym lesie rzeczywiście nie było, z czym najwięcej mieli kłopotu Niemcy, w sam środek których właśnie wleźliśmy, robiąc im niemożliwy bałagan w komunikacjach i połączeniach. Cały las był poprzesiany drutami telefonicznymi, łączącymi różne oddziały i baterie. Druty te z rozkazu dowódcy ciągniliśmy z zamiłowaniem.

Ciekawe było również, jak na tej szosie, która stanowiła nasze jedyne połączenie na tyłach, wjechał na nasz posterunek niemiecki motocyklista, jadący jako łącznik do swego dowództwa. Bardzo był zdziwiony, że się dostał do niewoli.

Po wymianieniu taborów, przecinamy szeroką piaszczystą drogę - "trakt", idący jakby równoległe do opuszczonej poprzednio szosy i jesteśmy na miejscu.

Dowiaduję się, że dowódca batalionu jest wraz z batalionem znacznie dalej, najprost przed nami, ale tu obok pod rozłożystym drzewem jest dowództwo pułku. Pod wskazanym drzewem zastaje pułkownika ze swoim sztabem. Melduje swoje przybycie i wykonanie rozkazu. Na mój widok bardzo się ucieszył i przedko jakby z pewnym spokojem pyta.

-Z całą kompanią pan tu jest?

-Tak!

-A to świetnie! Z panem to ja się dogadam. I zwracając się do dwóch młodych, stojących przed nami podporuczników -

-Proszę ze swoimi plutonami dołączyć do porucznika. -Do mnie zaś.

d.c.n.

WPISY DO LICEUM HANDLOWEGO.

Dyrekcja Państwowego Liceum Handlowego im. H. Bruna w Glasgowie przyjmuje zgłoszenia do klasy I. licealnej w terminie do dnia 1. września 1943 r.

Czas trwania nauki 2 letniego Liceum Handlowego wynosi 12 miesięcy.

Uprawnienia. Absolwenci Liceum Handlowego po złożeniu egzaminu końcowego mają:

1/ na podstawie art. 49 ustawy z dnia 23 maja 1924 r. o powszechnym obowiązku służby wojskowej w brzmieniu nadanym jej obwieszczeniem Min. Spraw Wojskowych z dnia 12 lipca 1933 r. prawo do odbycia skróconej służby wojskowej na równi z absolwentami liceów ogólnokształcących.

2/ na podstawie resp. Rady Ministrów z dnia 17 października 1932 r. prawo do zajmowania w państwowej służbie cywilnej stanowiska urzędnika II kategorii na równi z absolwentami liceów ogólnokształcących.

3/ prawo wstępu do szkoły wyższej /na wydział/ pokrewnego zawodu na równych zasadach z absolwentami liceów ogólnokształcących; wstęp do szkoły wyższej /lub na wydział/ niepokrewnego zawodu uzależniony jest od złożenia odpowiednich egzaminów uzupełniających.

Warunki przyjęcia. Do Liceum Handlowego mają prawo przyjęcia osoby bez ograniczenia wieku i płci, które

1/ wykazę się:

a/ ukończeniem 3 lub 4 letniej szkoły handlowej lub 4 letniego gimnazjum kupieckiego,

b/ ukończeniem gimnazjum ogólnokształcącego nowego typu lub 6 klas gimnazjum dawnego typu.

2/ złożą egzamin wstępny, który obejmuje:

a/ dla kandydatów, którzy ukończyli gimnazjum ogólnokształcące nowego typu, 6 klas gimnazjum dawnego typu lub 4 letnie gimnazjum kupieckie - egzamin ustny z języka polskiego,

b/ dla kandydatów, którzy ukończyli 3 lub

4 letnią szkołę handlową - egzamin pisemny z języka polskiego oraz ustny z języka obcego /angielski, francuski, niemiecki/, języka polskiego i matematyki w zakresie programu gimnazjum ogólnokształcącego.

Egzamin wstępny odbędzie się po kursie przygotowawczym.

Początek roku szkolnego: 1 października 1943r.

Kandydaci wojskowi składają podania w drodze służbowej, cywilni bezpośrednio do Dyrekcji Liceum. Uczniowie będą mogli korzystać z Internatu, uczennice na własne żądanie znajdą pomieszczenie na przystępnych warunkach w klasztorze.

Bliższych informacji udziela:

Polish Commercial College  
34, West George Str.  
Glasgow C. 2.



Dzięki,  
moja  
anielico!